

II/857

"Tędy będzie przechodził front" . . .

MARIA WASKO córka Władysława i Heleny ur. 10 II 1923r
wieś Korniówka powiat Horodenka woj. Stanisławów.
Deportowana z miejsca zamieszkania jak wyżej wspomina:

© ARCHIWUM WSPOMIENIE

Rodzice byli rolnikami. Mieli siedem mórg ziemi ornej.
Dwie krowy, konia, oraz budynek mieszkalny a i gospodarczy.

W dniu 10 II 1940r około godziny 12-tej w południe do
naszego domu przyszedł sąsiad Ukrainiec i rosyjski żołnierz z
karabinem. Taty w tym czasie w domu nie było.

Żołnierz szukał niby broni. Na wstępie mamę poinformował,
że: " tędy będzie przechodził front i dlatego muszą nas wywieźć".
Powiedział również, aby mama wzięła chleb, mięso, pierzyny,
poduszki. Ubranie mieliśmy tylko to, co na sobie.

Na podwórzu stały sanie, zaprzężone w konie, a sąsiad
Ukrainiec był za furmana.

Wyszliśmy z naszego domu. W tym czasie wrócił tato.
Wsiadliśmy do saní:

Władysław	Waśko	ur	1895	ojciec		
Helena	"	ur	1901	matka		
Maria	"	ur	1923	córka Władysława i Heleny		
				autorka wspomnień.		
Genowefa	"	ur	1927	córka Władysława i Heleny		
Jan	"	ur	1936r	syn	"	"
Stanisława	"	ur	1939	córka	"	"

Ukrainiec odwiózł nas na dworzec kolejowy do Horodenki.
W wiosce Korniówka mieszkało siedem polskich rodzin. Pozostali
mieszkańcy, to Ukraińcy. Tego dnia wywieźli wszystkich Polaków.

Na stacji kolejowej stał pociąg towarowy. Wprowadzili nas do wagonu, w którym były prycze piętrowe, okienka zakratowane, piecyk żelazny, a w kącie wagonu dziura w podłodze. W wagonie było około sześćdziesiąt osób. Dzieci czworo lub pięcioro. Z nami byli nasi dziadkowie i ciocia z wujkiem.

Dopiero następnego dnia rano o godzinie ósmej pociąg odjechał /ktoś w wagonie miał zegarek/. Nadal nie wiedzieliśmy gdzie jedziemy.

Pierwszy postój na stacji we Lwowie. W czasie podróży, pociąg zatrzymywał się w pobliżu stacji. Przychodził do wagonu strażnik. Zabierał przeważnie dwie osoby i w obstawie dwóch żołnierzy, szli po żywność. Przynosili wodnistą zupę, małe porcje razowego chleba, wodę do picia. Taki posiłek dostawaliśmy jeden raz dziennie.

Moja najmłodsza siostra Stanisława chorowała w czasie podróży, była przeziębiona. Pomocy lekarskiej nie było.

W dniu 6 III 1940r przyjechaliśmy do Pawłodaru. Samochodami ciężarowymi pod plandeką wieźli nas 150 kilometrów. W połowie drogi, kierowca na stacji benzynowej uzupełnił paliwo. Nad ranem przyjechaliśmy do miejscowości Maikain-Zołoto.

Wprowadzili nas do baraku. Siedzieliśmy stłoczeni na swoich tłumoczkach. Rano rozdzielili nas do poszczególnych baraków. W jednym pomieszczeniu mieszkało jedenaście osób. Spaliśmy na pryczach, okrywali się swoją pościelą, ubraniami.

Przydzielili nam pracę. Tato pracował jako wozak. Ja z mamą pracowałam na budowie. Młodsze rodzeństwo zostawało w tym czasie w baraku.

Po roku, mnie skierowano do pracy w kopalni złota. Nakładaliśmy rudę na wagony. Początkowo pracowałam osiem godzin dziennie, a po kilku tygodniach przedłużono pracę do 12-tu godzin, bez wolnych dni. Gdy wracałam z pracy włosy miałam czerwone od pyłu. Głowę myłam wodą z dodatkiem benzyny, którą kradłam w kopalni.

W stołówce można było kupić wodnistą zupę z rybich głów, albo zielonych pomidorów. Na drugie danie jedna łyżka klusek

razowych, lub jedna łyżka kaszy. Na kartki otrzymywałam jeden kilogram chleba dziennie. Zarabiałam tyle, że ledwie wystarczało na wykupienie wspomnianych obiadów i chleba.

Mama pracowała w biurze w kopalni jako sprzątaczką. Zarabiała pół kilograma chleba dziennie.

Tato pracował przy zwalaniu rudy z wagonów, otrzymywał osiemdziesiąt dekagramów chleba dziennie.

W pierwszym roku pobytu na zesłaniu można było kupić na przydział walonki i perkalik na sukienkę.

W pracy odnosili się do nas dobrze, nikt nie robił nam przykrości.

Siostra Cencwefa miała czternaście lat, była mała, wątła. Nie mogła pracować. Jako niepracująca otrzymywała tylko dwadzieścia dekagramów chleba dziennie. Natomiast brat Jan i siostra Stanisława otrzymywali trzydzieści dekagramów chleba dziennie. Jak wywozili nas z Polski, to siostra Stanisława już chodziła. Na zesłaniu była tak słaba, że nie mogła utrzymać się na nóżkach.

Dziadkowie nie pracowali. Wujek z ciocią dzielili się z nimi swoją skromną porcją żywności.

Raz w miesiącu pracujący otrzymywali jedną paczkę herbaty. Kozacy bardzo chętnie brali od nas herbatę, a w zamian dawali chleb, otręby, proso.

Również raz w miesiącu, pracujący otrzymywali jeden kilogram kaszy jaglanej, jeden kilogram ryb i tłuszcz. Trudno mi określić jaki to był tłuszcz.

W stepie w zapadlinach, kiedy wyschła woda, powstawała biała skorupa. Zbieraliśmy wierzchnią warstwę, rozpuszczaliśmy w wodzie. Powstawał słony płyn i tym przyprawialiśmy potrawy. Mama zamieniała pościel za jakąkolwiek żywność. Głodni byliśmy stale.

Dziadkowie zmarli z głodu w 1941r. Pochowani w paczce z desek w stepie, gdzie był cmentarz. Tato zrobił krzyżyk i postawił na mogile. Na tym cmentarzu pasło się bydło.

W 1942r mama zachorowała, miała opuchnięte nogi. Początkowo

lekarz dał jej kilka dni zwolnienia od pracy, ale przez ten czas nie wróciła do zdrowia. Zwolniła się sama z pracy. Od tej chwili tylko ja z tatą pracowaliśmy na utrzymanie rodziny. Siostra Genowefa stała w kolejce za chlebem na kartki, często od godziny drugiej w nocy. Ona pracowała tylko dorywczo. Bawiła dzieci u Rosjanki.

Mama po kilku miesiącach wróciła do zdrowia na tyle, że ponownie zaczęła pracować jako sprzątaczką w kopalni.

Brat Janek rozpoczął naukę w szkole rosyjskiej. Zeszytów nie miał. Mama przynosiła z pracy różne kartki i na tym pisał. Brat bardzo często chorował, miał bóle brzucha, płakał w nocy. Siostra Stanisława miała wyciek z uszu, ale żadnej pomocy lekarskiej, mama dla dzieci nie otrzymała. Siostra Genowefa chorowała na kurzą ślepotę.

W 1942r zaproponowano nam, abyśmy przyjęli obywatelstwo radzieckie. Obiecywali, że będziemy mogli wyjechać do swojego domu. Tato odmówił i nikt z Polaków, których znałam nie przyjął obywatelstwa radzieckiego.

Jest nam coraz trudniej żyć. W roku 1943/44 w stołówece nie było nawet tej wodnistej zupy. Było tak, że przez trzy dni nic nie dostaliśmy do jedzenia. Ludzie chodzili opuchnięci. W okresie lata często zdarzało się, że nie mieliśmy wody. "Byliśmy tak głodni, że myślałam tylko o tym, aby zjeść chleba do syta przed śmiercią i już nic więcej nie chciałam".

Lipiec i sierpień, to miesiące bardzo upalne. Z tego powodu była przerwa w pracy, ale dzień pracy wydłużyli aż do zmroku.

W zimie w baraku nie mieliśmy czym palić. "Kiziaków" w lecie nie można było przygotować, bo nie było je gdzie przechowywać. Kradliśmy więc w kopalni drzewo /kliny/, by chociaż trochę ogrzać pomieszczenie, w którym mieszkaliśmy. Ze względu na brak wody, topiliśmy śnieg. Z popiołu drzewnego, mama robiła żug i tak prała naszą bieliznę.

Dyrektor kopalni, zawiadomił nas w pracy w dniu 9 V 1945r

że zakończyła się wojna. Po tej informacji mieliśmy wolny dzień. Natomiast w następne dni, praca jak zwykle.

Od zakończenia wojny chleba na kartki już nie brakowało. Żyliśmy od tej pory nadzieją, że wrócimy do domu. Ale dopiero 5 V 1946r, również w pracy zawiadomiono nas, że wyjeżdżamy do Polski. Przez pięć dni nie pracowaliśmy. Dyrekcja załatwiała formalności z wyjazdem.

W dniu 10 V 1946r samochodem ciężarowym zawieźli nas do Pawłodaru. Na drogę dali nam suchy prowiant: chleb, konserwy rybne. W Pawłodarze czekaliśmy pod gołym niebem, w pobliżu rzeki / nazwy nie pamiętam/. Z Pawłodaru wyjechaliśmy 12 V 46r w wagonach towarowych. Na większych stacjach dawali nam zupę. Granicę przekroczyliśmy w Brześciu nad Bugiem. Rosjanie sprawdzili nasze dokumenty. Po dwóch dniach czekania, wsiedliśmy do wagonów PKP. Przyjechaliśmy do rodziny w Haśle.

Za zgodność

Maiko - Morja

Maria Waśko
ul Klasztorna 75
38-200 Jasło

Wspomnienia spisała

Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska

Jasło dnia, 7 VI. 1991r